

Moja walka z rakiem

(1)

Do 70. roku życia poważnych problemów zdrowotnych nie miałem, nie licząc nabytej jeszcze w czasach młodości dyskopatii. I tylko z tego powodu kilkakrotnie zaliczyłem różne sanatoria, a nawet przez miesiąc przebywałem w szpitalu uzdrowiskowym, gdyż zdarzyła mi się w roku 1985 rwa kulszowa. Kiedy jednak przekroczyłem siedemdziesiątkę, problemy zaczęły się na dobre. Najpierw wyszedł zbyt wysoki cholesterol. Musiałem stale łykać tabletki: apo-love, którą zamieniłem po pewnym czasie na apo-simve. Cholesterol się ustabilizował. Dwa lata później albo trzy pojawiły się kolejne dolegliwości. Mówiłem o wszystkim mojemu lekarzowi rodzinnemu Zbigniewowi B., który sobie wszystko lekcewazył i banalizował.

– Niech pan sobie nie wprawia chorób. Nie widzę potrzeby robienia żadnych badań. Jeśli pana to ciekawi, proszę sobie robić badania prywatnie, ja panu wyniki odczytam – odpowiedział łaskawie.

Machnąłem ręką i nadal się męczyłem z moimi dolegliwościami. Każdą wizytę Zbigniew B. ograniczał tylko do przepisania recepty na stabilizację poziomu cholesterolu. W końcu, nie mając innego wyjścia, wymusiłem na nim, aby zlecił mi także badanie krwi, bo dowiedziałem się, że powinien mi to zrobić przynajmniej raz w roku, rutynowo. Dał mi wreszcie skierowanie. Następnego dnia poszedłem do laboratorium analitycznego zrobić badania. No i wyszło szydło z worka: miałem wysoki poziom cukru, ponad 200 jednostek. Zbigniew B., jakby się przestraszył i skierował mnie też do diabetologa do szpitala, ale na wizytę, niestety, musiałem czekać pół roku. Od co najmniej dwóch lat miałem obstrukcję. I żadne domowe sposoby na to nie pomagały, picie wody czy maślanki lub kefiru itp. Odważyłem się znów pójść i powiedzieć:

– Panie doktorze, proszę mi przepisać lekarstwo na obniżenie poziomu cukru, bo naprawdę źle się czuję. Sądzę, że obstrukcja, trwająca co najmniej od dwóch lat, jest spowodowana cukrzycą. A diabetolog nie wiem, kiedy mnie przyjmie.

Zbigniew B. dał mi w końcu receptę na zakup metformaksu. Tabletki miałem zażywać 3 razy dziennie, po każdym posiłku. Od razu poczułem się lepiej. W końcu zacząłem się regularnie wypróżniać. Nie zmieniłem zatem lekarza rodzinnego, choć ten i ów radził mi dobrze, bym to zrobił, bo Zbigniew B. ma złą opinię wśród pacjentów. Może to był tylko jego błąd – pomyślałem sobie – a nie zła wola?

– Nie widzi pan, że niewielu ludzi do niego chodzi – tłumaczył mi ten i ów.

No tak, pomyślałem, to prawda, ale za to nie muszę czekać w kolejkach, przychodzę i jestem od razu załatwiony, a recepta wypisana, ciągle wierząc, że jego pomoc będzie mi potrzebna tylko wtedy, gdy skończą się

lekarstwa. – I tak trwało to znów jakiś czas. Ograniczałem się zawsze do prośby o przepisanie mi recepty. Tylko o tyle. On zaś o nic nie pytał. Robił to rutynowo i nie pytał o więcej. Żadnych badań.

Któregoś dnia w nocy mam problem z oddaniem moczu. Ból niesamowity. Nie wiem, co się dzieje. Jestem pełen najgorszych myśli. Ale w końcu w nocy po 2.00 wydostaje się ze mnie krew. Może to rak? – myślę. Następnego dnia zapisuję się do Zbigniewa B. na wizytę. Z tym nie ma trudności. Kolejek jak zwykle nie ma. Przyjmuje mnie raz dwa, a ja mu opowiadam o wszystkim, jak było w nocy, sam z własnej woli. Mówię też o moich obawach. Zbigniew B. spogląda na mnie i z pewną miną odpowiada:

– To z nerek wydostał się piasek i poranił drogi moczowe. Dlatego z moczem wydostawała się krew. Ale jest wszystko w porządku. Zaraz zapiszę lekarstwo, fitolizynę, pochodzenia roślinnego, którą przeczyszcisz panu nerkę. Będzie pan pił ją rozcieńczoną w szklance wody trzy razy dziennie.

Uwierzyłem tej diagnozie, powiem nawet, że się uspokoiłem. Uwierzyłem, że nie jestem chory. Choć powtarzało się to w odstępach czasu kilka razy. Zbigniew B., gdy go o tym informowałem, zawsze odpowiadał tak samo i zapisywał mi znów w tubce fitolizynę, którą rozpuszczałem w szklance wody i wypijałem. Trwało to chyba 2-3 lata. Na początku grudnia miałem wizytę u diabetologa i żona namawiała mnie, żebym mu o tym powiedział, bo przeczytała artykuł w miesięczniku „Zdrowie”, gdzie wyraźnie napisano jak byk, że krew w moczu znamionuje poważną chorobę, a nie – jak twierdził Zbigniew B. – schodzenie piasku z nerek. Dałem się w końcu żonie przekonać, choć wiedziałem, że moje problemy nie są związane z cukrzycą.

Na początku grudnia miałem wyznaczoną wizytę u mojego diabetologa, dr. Steca, w naszym powiatowym szpitalu. Była to rutynowa wizyta, któraś z kolei. Leczyłem się u diabetologa już co najmniej od 2 lat. Jak zwykle było ważenie, sprawdzanie poziomu cukru, wagi. Jakie lekarstwo biorę, by ustabilizować poziom cukru we krwi. Ale po zważeniu dr S. powiedział, że 8 kilogramowy spadek wagi w ciągu roku to nie jest rzecz normalna. I pyta mnie, co na to lekarz rodzinny?

– Twierdzi, że to działanie metformaksu. Chwalił się nawet do mnie, że przychodzą do niego młode panie, które chcą, by przepisał im to lekarstwo, bo chcą schudnąć.

– To nie metformax, proszę pana. Dlatego będzie pan zażywał na cukrzycę inne lekarstwo, glucophage 1000, 1 tabletkę dziennie, wieczorem, po posiłkach.

No a potem dalsze pytania o problemy. No to mówię doktorowi Stecowi, że mam w moczu krew.

– Od kiedy? – pyta lekarz.

– No, co najmniej od 2 lat.

– A mówił pan o tym lekarzowi rodzinnemu?

– Oczywiście, odpowiadam, ale doktor Zbigniew B. uznał to za rzecz mało ważną, spowodowaną schodzeniem piasku z nerek. I dał mi na to jako lekarstwo preparat roślinny w tubce, fitolizynę.

– I co pomogło? – pyta diabetolog.

– Jakiś czas krew ustąpiła z moczu, ale to się powtórzyło już kilka razy.

– I co na to lekarz rodzinny? – dopytuje mnie dr S.

– Znów mi dał ten sam lek roślinny na przeczyszczenie nerek.

– Proszę pana, to jest poważna sprawa – mówi wreszcie diabetolog. – Daję panu skierowanie na badanie krwi oraz moczu oraz na USG. I proszę przyjdź do mnie, gdy będzie miał pan już wyniki. Oniemiałem z wrażenia. To jednak poważna sprawa. Jakoś udało mi się szybko uporać z badaniami. W połowie grudnia zaglądam do gabinetu mego specjalisty z wynikiem USG, bo laboratorium analityczne wyniki krwi i moczu przesyła same.

– Proszę pana, daję panu skierowanie do urologa. Jak się pan zarejestruje, to proszę przyjdź i powiedzieć. A przy okazji niech pan zmieni lekarza rodzinnego. Radzę panu grzecznie.

W rejestracji dają mi termin wizyty u urologa na 27 maja. Przychodzę z tą wiadomością do dr. S., diabetologa.

– Nie może pan tak długo czekać. Skoro tak, kieruję pana do szpitala. Proszę iść z tym skierowaniem do dyżurnego lekarza, przyjmującego na oddziale chirurgicznym. On ustali, kiedy pana przyjmą na oddział.

Z doktorem K. ustaliśmy termin przyjęcia mnie na oddział szpitalny z początkiem roku. Już wiem, że nie jest ze mną dobrze. To nie żaden piasek na nerkach, jak sugerował to lekarz rodzinny bez żadnych badań, ale zmiany, prawdopodobnie nowotworowe, na pęcherzu moczowym. Na szczęście jestem już w dobrych rękach. Wychodzę ze szpitala z głową spuszczoną, ale pełen nadziei. Święta niestety mam już zepsute.

W domu kseruję opis z USG, na którym pisze o zmianach na moim pęcherzu moczowym, by dać także Zbigniewowi B. Mówię do dr. S.: – Chcę, aby lekarz rodzinny mógł się uczyć na swoich błędach. Może następnym razem na słowo krew w moczu, nie będzie aplikował fitolizyny, ale zajmie się prawdziwą diagnozą. – Następnego dnia udaję się do B. do przychodni, bo nie mam już lekarstw, a przy okazji podaję mu kserokopię opisu USG. Dodaję jeszcze: – Jest inaczej niż pan mówił. – B. wzięł kartkę do ręki, popatrzył i potem złożył w zworro i włożył do zeszytu. Nie odezwał się nawet słowem.

Mirosław Osowski



Rys. Sławomir Łuczyński